

*Matusian Nisze Kwiaty polne*



*Herbarium Holivae  
Grossianum  
et davori prajjanicki ego  
prijisipant  
autor.*

N A S Z E

# KWIATY POLNE.

Napisał

SZYMON MATUSIAK.

---

Osobna odbitka z II. zeszytu „Przeglądu Akademickiego“.

---

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAŃ  
BIBLIOTEKA**  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

KRAKÓW.

Nakładem Wydawnictwa „Przeglądu Akademickiego“.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ

pod zarządem A. Szyjewskiego.

1881.

<http://rcin.org.pl>



19.039

<http://rcin.org.pl>



Nie myślimy wcale zajmować czytelnika kwiatami, które z wiosną w tysiącznych gatunkach i barwach upiększają pola nasze, chociaż i taka praca, obznajmiająca nas ze wszystkimi kwiatami i chwastami, po których depeemy, używając przechadzki w lecie, byłaby bezwątpienia bardzo pożyteczna i zajmująca.

Mamy na myśli inne kwiaty, które podobnie jak tamte rosną dziko i znikają, a przyrodnicy nie chcą z nimi mieć nic do czynienia i niestety rzadko kto zwraca na nie uwagę. Pod wspomnianym tytułem chcemy podzielić się z czytelnikami naszego pisemka małym zbiorkiem utworów ludowych, zapisanych z ust Lasowiaków.

Lasowiaków? Któż kiedy słyszał to nazwisko, co to jest? Usprawiedliwione takie pytania. My lepiej znany geografiją i etnografiją Ameryki, łatwiej nam wyliczyć wszystkie ludy, jakie zamieszkują setki wysp australskich, aniżeli zdać sobie dokładną sprawę z ziemi swojej ojczystej, z niewielkiej liczby ludzi, którzy kraj nasz zamieszkują. Taki to nasz zwyczaj. Gdyby u nas opisał ktoś np. kraj hotentocki i jego mieszkańców — rozumie się niezbyt naukowo, niezbyt pedantycznie, bo to jest *conditio sine qua non* — zebrał o nich jak najdziwaczniejsze historyje, nie wątpimy, że znalazłoby się jakieś pismo krajowe, które uderzyłoby w poważny ton tymi mniej więcej słowy: Jeżeli niemcy na każdym polu nauki i wiedzy mają specjalistów, którzy z ogromnym nakładem sił, pracy i pilności budują ogrom swojej literatury, to, dzięki Bogu, i dla nas, zdaje się, nastaje ta era, i my możemy się już pochlubić pracami specjalnymi. Oto świeżo pojawiła się poważna praca... itd. Ale pisać o naszych chłopach, o ich najróżnorodniejszych typach, ich

stroju, zwyczajach, gadaniach, pieśniach, ich języku itd., słowem poznać swój kraj jak najdokładniej, wszechstronnie, to wydaje się rzeczą małej wagi, to rzecz znana powszechnie, to pozostawia się zwyczajnym śmiertelnikom, genjusze potrzebują większej przestrzeni, oni winni z ciemnicy wydobywać na jaw idealne skarby! Co zresztą z tego przyjdzie, czy chłopi tój lub owój okolicy tak lub owak się nazywają, czy takie lub owakie mają przekonania, gadania, śpiewki, czy tak lub owak mówią, przecież od chłopa nie będziemy się uczyć mówić?!

Pozwoliliśmy sobie tój dysputy nie dlatego, abyśmy nie znali i nie cenili ludzi, którzy u nas i na tym polu, o którym mowa, położyli zasługi niezaprzeczone, abyśmy dumnie wołali: wszystko, co dotąd zrobiono nie ma żadnej wartości, my dopiero pokażemy, jak koło tój sprawy chodzić należy, od nas rozpoczyna się nowa epoka, ale na to, aby okazać, jak w ogóle publiczność zachowuje się u nas w obec prac tego rodzaju, jak daleko jest od całkowitego pojęcia i ocenienia trudu, jaki sobie Akademia Umiejętności zadaje, zbierając ze skrzętną pilnością materyjały do etnografiji krajowej i wszystkiego, co się tyczy naszego kraju i ludu. Żadne przynajmniej z pism krajowych, o ile nam wiadomo, tego kierunku pracy Ak. Um. nie uwzględniło i nie podniosło tak, jak ona na to ze względu swój ważności zasługuje. Pozostawiając kompetentniejszym od siebie głos w tój sprawie, pozwolimy sobie wypowiedzieć to, na co nas stać, po 1sze, co do spisywania utworów ludowych.

Zdaje się, kiedy przeglądamy cały szereg imion pisarzy, którzy się tymi rzeczami zajmowali i choćby w ręku ważymy grube tomy ich dzieł, że już mało na tym polu zostaje do zrobienia, mało co nowego do powiedzenia, a jednakże, jeżeli się nie mylimy, to będzie dla czytelników dość nowym to, cośmy z ust Lasowiaków zapisali. Jakoż w istocie rzecz tak stoi, że nie jesteśmy jeszcze ani w połowie drogi do tego celu, aby móc powiedzieć, że już wszystko wiemy, co lud myśli, opowiada, śpiewa i t. d. Wiele jest jeszcze takich okolic, gdzie noga zapisywaczy nie postąpiła, a nawet nie można myśleć, aby już wszystko było zapisane tam, gdzie oni byli. Każdy nawet najmniej interesujący się tym przyzna, że trudno od naszego ludu cokolwiek się dowiedzieć, skoro się stanie w obec niego z żą-

daniem, aby nam nawet najubożniejszą bajkę opowiedział, a ci, którzy się tymi rzeczami zajmowali, wiedzą, że nieraz najrozmaitszych trzeba używać sposobów, aby się *coś* dowiedzieć. Akcentujemy to *coś*, gdyż możemy najuroczyściej każdego zapewnić, że chłop nasz przed nikim obcym, do którego niema tak pewnego zaufania, jak do swego sąsiada, nigdy całkowicie, z całą szczerością nie otworzy serca i umysłu, aby pokazać, co na dnie tego serca i umysłu spoczywa. Przyczyna tego, obok wielu innych jest ta, że nie zwykliśmy przed całym światem na głos rozprawiać o tym, co stanowi albo tajemnice naszego serca albo jego skarb najdroższy, jestto prawda psychologiczna, której i chłop bezwiednie ulegać musi. Do spisywania więc płodów umysłowych ludu najstosowniejszymi byłiby ci, którzy z pośród niego wyszli, którym lud najzupełniej ufa, jeżeli tylko nim nie gardzą i nie stawiają go niżej od siebie. Tacy słyszeli zresztą wszystko w swojej młodości, nie trudno im o tym lub o owym rozpocząć rozmowę najpoufalszą ze swoimi krewnymi lub znajomymi, nie trudno im dowiedzieć się o wszystkim, odkryć nawet najskrytsze tajniki serca tych, z pomiędzy których wyszli. Młodzieży zwłaszcza akademickiej, pochodzenia wiejskiego, powinno to leżyć na sercu, ona powinna to sobie uważać za obowiązek sumienia, zwłaszcza, że nie tak trudno powziąć ku temu celowi odpowiednie wiadomości, bo dzięki Bogu, mamy w tutejszym uniwersytecie katedrę dla ojczystego języka, a tam i takie rzeczy się traktują. Z przykrością niestety powiedzieć wypada, że młodzież ta wiejskiego pochodzenia, przeważnie niepojmuje ważności tego rodzaju pracy, a są i tacy, do których nawet o tym przemawiać nie można. Odkąd się wdziało tak zwany cylinder, nie chce się z chłopem nie mieć do czynienia, nawet do nazwiska zdałoby się dodać —ski albo —icz, bo łatwo mogłoby zdradzić, że się w młodości gęsi pasalo. Cóż z takimi Tersytesami moralnymi począć? Takich żadnym słowem do innego sposobu myślenia nie nakłonicz, a wątpić należy, czyby i berło Agamemnona skutkowało.

Wracając zaś od tego, czegośmy sobie życzyli, do tego, co jest, oświadczamy, że jak do każdej umiejętniej pracy tak i do opisywania płodów ludowych trzeba przystępować z odpowiednim przygotowaniem, z odpowiednimi wiadomościami, z odpowiednim uzdolnieniem, ze świadomością celu.



To chyba każdy przyzna, że chcąc być dokładnym, trzeba np. dzieła Mickiewicza tak wydrukować, jak je znajdujemy w rękopisach. bez poprawiania jego form językowych na lepsze albo gorsze; można do tego języka zrobić komentarz, ale nigdy nie należy go zmieniać. To się czyni tylko dla wygody czytelnika i wtedy też wydawca musi się zrzec tytułu, że był wiernym wydawcą dzieł poety. Jeżeli przy wydawnictwie dzieł pisarzy, władających językiem literatury, wiele na tym zależy, aby je wydawać z całą wiernością, to nie mniej przy wydawaniu utworów ludowych, bo oczywiście, nie wdając się w szerokie rozprawianie, każdy taki utwór w tej szacie powinien występować w książce, w jakiej występuje w żywym opowiadaniu u ludu. Inaczej robić, t. j. spisywać te utwory językiem literatury albo nędznie głosy ludowe naśladować, znaczy przebrać chłopa we frak, zostawiwszy mu resztę ubrania bez zmiany i wprowadzić go do salonu, jakim w tym razie jest książka, i kazać mu przemawiać żargonem niewiedzieć jakiego rodzaju.

Z bardzo a bardzo małym wyjątkiem wszystkie utwory ludowe, dotąd wydane, grzeszą tym śmiertelnym grzechem, o jakim była wyżej mowa. Nie mamy nic przeciwko temu, aby utwory ludowe pojawiały się i w innej szacie, zwłaszcza w piśmiech peryjodycznych, gdzie nie tyle chodzi o dokładność umiejętną, jak o podanie treści w przystępnej formie, ale jesteśmy przeciw wydawaniu tych utworów w sposób niedostateczny tam, gdzie dokładność, gruntowność naukowa jest koniecznie i niezbędnie potrzebna. Dokładność ta i gruntowność oczywiście polega na tym, aby wydane te utwory mogły być przedmiotem wszechstronnego badania, a więc i badania języka. Dlaczego nam o ten język tak bardzo chodzi, to rzecz jasna, bo pragnęlibyśmy mieć obraz języka ludowego, a złączywszy ten obraz z obrazem języka literatury, zbudować kiedyś obraz całkowity języka ojczystego, i wreszcie wyciągnąć i tę korzyść, o której uczony Jakób Grimm w te słowa przemawia: „*Sprache ist der volle athem menschlicher seele, wo sie erschallt oder in denkmälern geborgen ist, schwindet alle unsicherheit über die verhältnisse des volks, das sie redete, zu seinen nachbarn, für die älteste geschichte kann da, wo uns alle anderen quellen versiegen oder erhaltene überbleibsel in unauflösbarer unsicherheit*



*lassen, nichts mehr austragen, als sorgsame erforschung der verwandtschaft oder abweichung jeder sprache und mundart bis in ihre feinsten adern oder fasern*“. Wszysey wprawdzie pracownicy na polu rzezonym mogą powiedzieć: pisaliśmy w języku ludowym, ale my pochodząc z ludu i mając w tym względzie pewne doświadczenie, możemy bez wahania powiedzieć, że to jest iluzya i dowód, że pracownicy ci, których zresztą nikt tak może wysoko nie ceni, jak my, o języku ludowym dokładnego pojęcia nie mają. Bo też mieć dokładne pojęcie o języku ludowym nie jest rzeczą tak łatwą, jak się na pierwszy rzut oka wydaje.

Chyba w żadnym kraju na świecie nie jest język ojezysty tak uwielbiany, tak kochany, jak w Polsce. Zrozumiały są tego objawy przyczyny. Ale znowu trzeba przyznać otwarcie, że rzadko który jest mniej przedmiotem umiejętnego traktowania, jak nasz. Ludzi polaków, znających swój język umiejętnie, w dziejowym jego rozwoju, — oczywiście nie w całości, bo całego prawdziwego obrazu, umiejętnego dotąd nie mamy i mieć go wnet nie możemy — jest tak mało, że wystarczy pięć palców u ręki, aby ich porachować. Ale któż u nas nie chełpi się znajomością umiejętną naszego języka? Podnieś tylko jaką kwestyją gramatyczną, zobaczysz, ilu będzie dysputatorów. Co? polak niezna języka polskiego? Przypatrzcie się, idijota, każe pisać „przyszedszy“, nie „przszedłszy“, „swoje“ matkę, nie „swoją“ matkę, „jedną“ książkę, nie „jedną“ książkę. A przecież Kraszewski pisze np. „swoją“ matkę! A ten Mickiewicz to miał także swoje bziki gramatyczne, wszędzie ci, gdzie my piszemy *z* (przyimek), on ci pisze *s*! I tak bez końca będzie ci dowodził wrzekomy *znawca* języka polskiego, nie przeczuwając nawet, że prawdziwy badacz języka żadnych dla języka nie ustanawia przepisów, dla niego język we wszystkich swoich objawach złych, czy dobrych jest przedmiotem studyjów, jak dla naturalisty każdy najmizerniejszy chwast i najniklejszy wymoczek i najdrobniejszy kamyk. Wszysey u nas czują się być powołani do rozstrzygania najzawilszych kwestyj gramatycznych: prawnik, medyk, kupiec i Bóg sam tylko wie kto. Zdawałoby się, że nigdzie na świecie nie ma tylu *znawców* swego języka, jak w Polsce, tymczasem tylko to prawda, że nigdzie może nie ma tak skrzywionych pojęć

o tój tak zwanój gramatyce, jak u nas. U nas myśli sobie każdy, co był w szkole, że gramatyka jest poradnikiem, jak mówić i pisać należy; ileż to walk stoczono bez skutku o tę mizerną pisownią! Rozumie się, że nie mamy przeciwko temu, aby były i takie gramatyki polskie, jak są i „kucharze polskie“, ale chcielibyśmy, ażeby od tego odróżnić tę gramatykę, która opowiada dzieje form językowych i tłumaczy wszystkie zjawiska języka na podstawie jedynie właściwój i możebnój, na podstawie porównawczój. A jak ktoś musi strawić całe lata nad nauką, aby być np. medykiem w całym słowa tego znaczeniu, a potem nawet po długim życiu i doświadczeniu nieraz niemoże się poznać na chorobie, tak się rzecz ma i z prawdziwym gramatykiem; a jak śmieszną byłoby rzeczą, gdyby ktoś nie posiadający weale nauk lekarskich chciał chorego leczyć, tak śmiesznym oczywiście jest, kiedy ktoś niepowołany, bierze się do rozstrzygania kwestyj gramatycznych. Z tego wszystkiego wynika, że nie obznajmiony choćby z pierwszymi zasadami umiejętności, o jakiej mowa, w znaczeniu rzeczonym, nie dopatry się w mowie ludu niczego; zamiast jego pięknego i bujnego kształtu, poda nam jego błady obraz albo karykaturę. Bo żeby w języku ludowym jedno słowo uczciwie napisać, tak jak ono brzmi w naturze, potrzeba już na to zaznajomić się z fizjologiją głosu ludzkiego, mieć ucho dobre, zmysł obserwacyjny i świadomość sposobu, w jaki wyraz ten napisać, aby on mógł być przedmiotem badania dla gramatyka. Przy takim dopiero postępowaniu, o ile nam się zdaje, wystąpią utwory ludowe w ich przyrodzonój szacie, w ich naturalnój piękności, w ich wierności prawdziwój i mogą być przedmiotem wszechstronnego badania. Jakże szybkim krokiem naprzód mogłyby teraz pójść studyja np. nad językiem ludowym, gdyby wszystkie zbiory utworów ludowych były odpowiednio zapisane. Dziś potrzeba na nowo to wszystko spisywać, aby ten język zbadać, ale oczywiście należy się cześć takim ludziom, jak p. Kolberg, za ich niezmordowaną pracę, za ich trudy, bo ileż z tych utworów ludowych mogło zaginać do chwili, zanimby je ktoś spisał podług wszelkich wymagań umiejętnych, a miał tyle wytrwałości i zechciał na pracę tego rodzaju tyle sił poświęcić.

Jeżeli zbiorom utworów ludowych wiele można zarzucać, to poznanie naszój etnografiji i geografiji krajowój na podstawach umiejętnych jest jeszcze malutkim dziecięciem w kołysce. Co do geografiji jednak w ścisłym słowa tego znaczeniu, możemy mieć piękne nadzieje na przyszłość, jeżeli tylko myśl kongresu Długoszowego, co do tego punktu, będzie w czyn zamieniona, przedstawia ona szerokie i długie pole badań podobnie jak etnografija. Jak badając mowę ludu naszego, napotykamy nieprzebraną prawie rozmaitość jēj odcieni, jēj barw, jēj najrozmaitszych kształtów, tak rzuciwszy okiem etnografa choćby tylko mimochodem na nasz lud polski, spostrzeżemy tysiące różnic w tym ludzie z różnych okolic; czasem dwie wsi odległe od siebie o ćwierć mili, okażą ludność, czysto polskiego pochodzenia, dziwnie różnią się między sobą budową ciała, językiem, strojem, zwyczajami i tyloma innymi względami. Że etnograf nie obejdzie się bez ostatecznych wyników badań na polu języka ludowego, to rzecz jasna; z czego wynika, że badanie języka ludowego musi iść ręką w rękę z badaniami etnograficznymi, jeżeli pierwsze nie mają poprzedzić ostatnich. Czy tak się u nas dzieje?

Kto wie i umie ocenić, jakie zdobycze naukowe czekają nas z umiejętnego badania kraju naszego i ludu, ten z gorącym sercem oczekuje chwili, kiedy te badania z dobrze obmyślanym planem, pod przewodnictwem ludzi ku temu celowi uzdolnionych na prawdę się rozpoczną. Przez umiejętne postępowanie na polu tēj pracy dojdziemy nie tylko do tego, że dzisiejsza postać kraju naszego z jego ludem stanie nam żywo przed oczyma, ale będziemy zdolni z całą dokładnością nakreślić sobie jego postać z czasów, do których nie mamy ani kronik, ani napisów, słowem niczego, coby nam te odległe czasy uprzytomnić mogło; historyja nasza pierwotnych czasów nie będzie potrzebowała się opierać tylko na domysłach, ale będzie mogła podać coś rzeczywistego, co się zaprzeczyć, ani inaczėj tłumaczyć nie da. Że nie przeceniami tych korzyści, że się ich nie domyślamy, ale jesteśmy o nich przekonani na podstawie pewnych danych, mogliśmy rzecz tēj obszerniej wyłuszczyć i poprzeć faktami, któreśmy zdobyli, gdyby to było naszym celem w obecnej chwili.

Powiedział jeden ze znakomitych i zacnych naszych męzów, że u nas trzebaby ludzi robić z kijów. W istocie potrzebe



ludzi w obec zadań, jakie mamy do rozwiązania, czuje się gwałtownie, bo na cóż przydadzą się długie nawoływania, programy pracy jak najlepsze, jeżeli nie ma takich, którzyby te programy wykonali? Młodzież akademicka uczuć to przedewszystkim powinna, ona powinna zrozumieć potrzeby kraju i stosownie do tych potrzeb, do tych zadań, jakie ma przed sobą, uzdolnić się, o ile tylko siły na to pozwalają. Na nie się nie zdadzą wołania: Polska, Polska, my Polacy, nam się należy stanowisko godne pomiędzy ludami Europy. — jeżeli tój Europie nie dowiedziemy, że jesteśmy ludźmi, z którymi ona na każdym polu rachować się musi. Nie trzeba nam szeroko po świecie szukać pracy, bo mamy ją w domu, pełne łany zboża, bierzmy się tylko do żniwa.

Po tym zbożeniu, które może nie bez potrzeby i przyezyny zrobiliśmy, wracamy do swoich Lasowiaków, o których daremnie pytalibyśmy się etnografji naszej.

Lasowiacy to lud polski najczystszej krwi, mieszkający w dawniej „puszczy sandomierskiej“ między widłami Wisły i Sanu, w pobliżu Sandomierza. Nazwisko Lasowiaków sam sobie nadaje i tak jest nazywany od mieszkańców nad samą Wisłą, których on znowu nazywa „chłopami z pola“. Lud biedny, uprawiający wśród lasów piaszczystą i nieurodzajną glebę, mieszkający przeważnie w nędznych dymnych „chałupach“, różniący się od chłopów z pola: językiem, strojem, zwyczajami i obyczajami. Chłop z pola ma już pewną pretensyją do ogłady i elegancji, chodzi w pięknych „skrzypiących“ butach; Lasowiaka rzadko stać na takie przepychy, zwyczajnie chodzi on w zimie w chodakach, a w lecie w kurpiach, które sobie z łyk lipowych sporządza. Ale zato, jeżeli chłop z pola stracił już prawie cechę ludu w naturze, śmieje się z dawnych zwyczajów i tradycyi, Lasowiak do nich całą duszą przywiązany: wierzy we wszystkie demony, czary i zabobony i opowiada sobie, jak za dawnych czasów, o wszystkim, co zwracało lub zwraca na siebie jego uwagę: wierzy w Boga i złych duchów się boi. Ale pozwólmy niech nam ten Lasowiak co opowie, z tego lepiej może poznamy wnętrze jego duszy, aniżeli z tysiąca słów, którebyśmy o nim wypowiedzieli.

Dawniej <sup>1)</sup> na świecie nie tak było, jak sobie myślicie po terażniejszemu. Powiadają, że w raju ziemia młkiem i miodem płynęła, ale to nie tylko w raju, bo po całym świecie. To tak samo jak księdza mówią, że Jewa skusiła Jadama jabłkiem, a tu człek przeciek rozumié, co to było za jabłko, bo każdy z nas jak młody, to za tym jabłkiem goni. To każdy wié, że Jadam i Jewa mieli dzieci, a Pambóg kazał się im strzymać na jaki czas. Tak potom z Jadama i Jewy wszyszło całe pokolenie ludzi i rozlazło się po świecie, jak mrówki z mrowiska w lesie. Jino że tamci ludzie nie byli tacy, jak my, wtedy każdy człek, to był Obrzym <sup>2)</sup>, bo jakżeby nimiał być Obrzym, kiedy rzekami płynęło mléko, a w stawach i jeziorach stał miód, jak w kadziach jakieh. Abo to wtedy zabraniał kto komu zabijać świnię dzikie w lesie na sztukę <sup>3)</sup>, albo „sary <sup>4)</sup>“ albo żubry na mięso? Człek zabijał i jadał, co mu się żywnie podobało, a nie nie robił. Nie robił w ziemi, ani nawet chałup nie stawiał, wsi całkim nie było. W miastach, co były bardzo rzadko, o kilkadziesiąt mil od siebie, siedzieli jino bardzok bogaci. A co to wtedy znaczyło bogaty? Myślicie, że miał dużo pieniędzy, gdzie tam — ten był najbogatszy, co miał dużo bydła, jeżeli komu chciało się trzymać bydło, a o pieniądzech wtedy ani słyechu dychu, ani o jakichś prawach, urzędnikach, ździercach, albo podatkach. Każdy sobie był pan, wszysey jednako chodzili (ubierali się), żaden żadnym nie gardził, ani się jeden na drugiego nie wynosił.

Ale ja wam gadam o wszystkim a zapomniałem wam powiedzieć, co to jest Obrzym. Oto widzicie wtedy ludzie byli więksi, jak teraz największy chojak <sup>5)</sup> albo dąb. A to już trza wam wiedzieć, że wtedy wszystko było większe. Takie drzewa jak my mamy, to się u nich nazywało krzak i takiego krzaka,

---

<sup>1)</sup> Opowiadanie Tomasza Walskiego ze Stalów i, Nowaka z Krzątki. Opowiadanie to podajemy w brzmieniu pojedynczych głosów języka literatury, zostawiając sobie umiejętne opracowanie na miejsce odpowiednie.

<sup>2)</sup> Obrzym, staropolska forma zam. Olbrzym.

<sup>3)</sup> sztuka znaczy słonina.

<sup>4)</sup> sar znaczy rogacz.

<sup>5)</sup> chojak, sosna.

dęba największego abo chojaka, co my musimy ścinać, to taki Obrzym abo także wielko-lud, to sobie ręką ułamał, jak my kijek i podpierał się nim jak laską. To się możecie domyśleć, jakie to musiały być u nich wielkie lasy, kiedy takie nasze dęby lub chojaki nazywali oni krzakami i jak oni musieli być mocni, kiedy takie drzewa łamali jak jakie krzaczyny. Nie jino same lasy ale i wszystko było większe: kurzę to u nich było takie, jak teraz kura, kurze jaje jak teraz gęsię; świnia to przynajmniej była tak wielka jak krowa, a krowa i koń jak były wielkie, to już niema na co pokazać. Taki obrzym abo wielko-lud, jak się położył na ziemi, to zakrył sobą ze ćwierć mili. A nigdy mu zimno nie było, w śniegu leżał jak w pierzynie, jino sapał. W zimie czy w lecie zawsze mu było ciepło, zimą i latem kąpał się w stawach i jeziorach, a wtedy takie jeziora i stawy, to były bez dna, dziury od nich szły aż do morza. Nawet tu u nas, to jeszcze do niedawna były takie miejsca bez dna, ale powoli tyle tam naleciało liścia i Bóg wie czego, że już dno się zrobiło. Taki Obrzym jak się kąpał, to się trzymał rękami brzegów, a nogami bił w wodę, że go na mile słychać było, a woda wyskakiwała nad najwyższe drzewa.

Ale jak się człowiekowi dobrze dzieje, to on zapomina o Bogu, tak i ci obrzymi bardzo się rozpuścili i zaczęli sobie gadać, że oni tak mocni, jak sam Pambóg. Tak wtedy Bóg zesłał potop i wielka rzecz <sup>1)</sup> ich wygineła. Ludzie powiadają, co Pambóg wszystkich obrzymów nie wygubił. Bardzo wielu siedzi ich w jaskiniach, gdzieś tam daleko za morzami, a to na to, żeby robili chmury. Wszystkie mgły z całej ziemi, a i te co są u nas wstają z lasów i łągów <sup>2)</sup>, idą tam do nich. Oni z tego robią sobie kądziel, a te kądziel przędą takie kobiety, co topielec zabrał pod wodę i utopił. Z tych nici dopiero robią sobie te obrzomy takie ogromne płachty, te płachty zeszywają i nabierają w nie wodę i dopiero kilku z tą chmurą podnosi się do góry i prowadzi, gdzie im Pambóg każe. A te Obrzomy, te chmury ciągną na sznurach okropnie prędko, tak się ta chmura robi jak sito i woda się leje. To możecie zrozu-

<sup>1)</sup> rzecz zn. ilość.

<sup>2)</sup> łąg, łąka bagnista wśród lasów.



mieć, jak te Obrzymy są mocne, kiedy nieraz prowadzą taką chmurę, co całe niebo zakrywa. A i oni czasem nie mogą takiej chmury utrzymać, jak puszczą, to już wtedy oddaj się Bogu, uciekaj gdzie możesz, bo chmura spadnie i zaleje wszystko. Czasem tym Obrzymom porwią się sznury i chmura spada, tak wtedy ludzie gadają, że to jest oberwanie chmury. Ale jedni Obrzymi siedzą na południu i ci robią chmury na deszcz, a inni znowu siedzą gdzieś tam het, het na północy, dalej jeszcze aniżeli Samojedzi. I oni także robią chmury z mgieł, ale nabierają do nich albo lód zbity na kawałki, albo śnieg i z tym dopiero puszczejają się w drogę. Ale tu już każdy zrozumie, że ci muszą być silniejsi, bo co to znaczy taki ciężar prowadzić. Jak Pambóg jaki kraj chce ukarać, tak dopiero takich Obrzymów wysyła z takimi chmurami. Raz jakeśwa z Jasiem Sobkowym żęła na Obłoku <sup>1)</sup>, widziałaśwa dwu takich Obrzymów, było to wtedy <sup>2)</sup>, jak ten wielki grad był we wsi. Chmura przyszła nad las i tak zdawało się, że już zadrze o chojaki, podrze się na kawałki i wszystka woda się z niej wyleje. No myśliwa sobie, teraz trza już zginąć, patrzywa, a tu dwu Obrzymów oparło się o chojaki, aż się im broda darła po chojakach, a pot lał się im z czoła jak woda. Jak krzyknie jeden na drugiego: „podaj liny“ — jak złapią chmurę, jak szarpną, tak poleciała het, het na Grębowskie <sup>3)</sup> pola. Ale bo też te Obrzymy mieli ręce, żeby nie skłamał, to garść takiego Obrzyma, jak ta łódka na hrabskim stawie.

Czasem takim Obrzymom zabraknie wody — to można zaraz poznać, bo jak chmura jest pełna wody, to czarna, a jak się deszcz zacznie z niej lać, to coraz bardziej blednieje. Jak już Obrzymy zobaczą, że mało mają wody, tak wtedy modlą się do słońca, a słońce zrzuca im tęczę. A wiecie, co to jest tęcza? Jak raz z panem oberleśnicą (nadleśniczym) jechałem do Dzikowa i to wszystko mu gadałem, to on się śmiał, że mało z bryczki nie wypadł, a potym powiedział, że to wszystko co my gadamy to głupstwo. Jak mi zaczął o tej tęczy gadać,

---

<sup>1)</sup> nazwisko pola w Stalach.

<sup>2)</sup> w r. 1871.

<sup>3)</sup> Grębów wieś.

to aż mi się w głowie mąciło i nie nie mogłem zrozumieć, bo bardzo wysokim „ścielem“ gadał, ale mnie się jego to gadanie jeszcze żmudniejsze <sup>1)</sup> zdawało, jak to nasze. Bo skądże się ta tęcza bierze? on dużo gadał, a tego mi na wyrozumiałość nie powiedział. Jużci to chłop, jak chłop, zawsze głupi, ale jak co powie, to przecież go można zrozumieć. Ja wam tak powiem, jak mój dziadek i pradziadek gadali: Oni mówili, co słońeczko to w dzień rozrzuca promienie po całej ziemi, ale jak w nocy zajdzie do swojego domu, gdzieś tam het, het za morza, to ono z tych swoich promyków wyrabia różne cuda. Możecie kiedy na dniu gorącym widzieli na łąkach, jak się coś daleko migoce, jakby morze, to widzicie, wtedy słońeczko suszy sobie takie swoje płótna, co zrobi nocami ze swoich promyków, jino że te promyki farbują jakąś prześliczną farbą, jakiej niema na całym świecie. Jak jino widzicie, tym Obrzymom zabraknie wody, tak oni proszą słońeczka, żeby im dało tęczę, tak ono im daje, a oni spuszcza ją jej końce gdzieś do stawu albo rzeki, a ona wodę ciągnie w siebie i tak ta woda dostaje się do chmury. A kiedy mi się pytacie o piorun, to wam także o tym powiem, jak u nas sobie chłopcy o tym gadają.

Pany powiadają, że „pieron“ to ma być jakaś tam iskra. Kejby <sup>2)</sup> też iskra mogła wylecieć z chmury, kiedy w niej pełno wody? Powiadają także, że ta sama iskra lata po celigrafie <sup>3)</sup>, ale to wszystko nieprawda. I pany nie były dawniej takie filizofy <sup>4)</sup> i wierzyli, jak my „Kreścijeny“ <sup>5)</sup>, Jeden pan lubiał zawsze w niedziele przedemszą chodzić na polowanie. Tak raz poszedł, chodził i chodził, a nie mógł nic upolować, a tu już był czas na mszę świętą. Aż tu wychodzi czarna chmura i zaczyna zdaleka grzmieć. Ten pan patrzy i widzi nad rzeką jakieś wielkie czarne ptaczysko, co siedzi na kamieniu. Myśli sobie: nic nie upolowałem, trza choć to zabić. Ale przypomniał sobie, że już od siedmi lat nosi święcony nabój w torbie. Wykręcił

---

<sup>1)</sup> śmieszniejsze.

<sup>2)</sup> gdzieby.

<sup>3)</sup> telegraf.

<sup>4)</sup> filozof.

<sup>5)</sup> Chrześcijan.

z dobra dziwu <sup>1)</sup> nabój ze strzelby i nabił ten święcony i palnął a ptaczysko fik na ziemię z kamienia. Tak ten pan przyszedł do niego, podniósł i ogląda, bo nigdy jeszcze takiego ptaka nie widział i pada sobie: „szkoda naboju, takie szkaradne ptaczysko.“ Aż tu nagle krzyknie ktoś za nim: „nie żałuj panie, ja już przez siedem lat chodzę za tym ptakiem i nie mogę go upolować, jakieś ty mierzył do niego, to ja mierzyłem do ciebie, jakbyś go był nie zabił, to ja ciebie.“ Przeląkł się panisko, oglądnał się i zobaczył przed sobą ogromnego chłopca jak drzewo, ze strzelbą jak kłoda. Był to „Pieron“, co zawsze poluje na takie ptaki szkaradne. Te ptaki nazywają się Latawce, bo pono bardzo prędko latają. Piorun wziął za rękę tego pana i długo jeszcze z nim gadał, oglądali sobie strzelby, a potem mu powiedział, żeby nigdy w niedziele nie polował i odleciał jak wiat. <sup>2)</sup>

O niebie są u nas także różne przepowiedki <sup>3)</sup> i to wszystko jest prawda, bo przecież od nas niejeden chłop był już na tamym świecie, a potem znowu wrócił i gadał, co widział na własne oczy. Jak człowiek umrze albo go zabierze <sup>4)</sup>, to prowadzi do nieba jego duszę anioł. Jak tylko ten anioł zapuka, tak mu zaraz otworzą. Na samym spodzie jest piekło, a do tego piekła idzie bardzo szeroka droga. Do nieba trzeba iść jeszcze w górę, może jakie pare mil po bardzo waziutkięj drodze kamienistęj i ciernistęj, a jak się tam przyjdzie, to aż się dusza raduje; co tam złota, co tam srebra, dyjamentów, to żeby to wszystko zebrał człowiek z całego świata, toby tam nie wystarczyło na samę posadzkę. Posadzka tam jest ze samych dyjamentów, a całe niebo to tak prawie wygląda, jak u nas kościół w Dzikowie, tylko że ściany są ze złota, a sklepienie ze srebra i drogich kamieni. Jak dusza przyjdzie, tak zaraz Pan Bóg wychodzi na tęczę <sup>5)</sup> z wagą w ręce i na jednę wadze (szali)

<sup>1)</sup> nie wiele myśląc.

<sup>2)</sup> Porów. Gwara Lasowska. Rozpr. Ak. umiej., Wyd. filolog. t. VIII.

<sup>3)</sup> opowiadania

<sup>4)</sup> Podług mniemania Lasowiaków, człowiek może być wzięty na krótki czas do nieba, a potem wraca.

<sup>5)</sup> W kościele OO. Dominikanów w Dzikowie, znajduje się kabłąk od dzielający presbyteryjum od nawy, kabłąk ten nazywa lud tęczę.



leżą jego dobre uczynki, a na drugiej złe; jak złe przeważą, to Pambóg każe tę duszę odprowadzić albo do piekła albo do czyśca. Ten czyściec to jest między niebem a piekłem. A całe to niebo tak jest zrobione, że jak człowiek popatrzy z nieba, to widzi wszystkich, co są w piekle i w czysecu, tak samo, jak kto popatrzy albo z piekła albo z czyśca, to widzi wszystkich co są w niebie, w czysecu albo w piekle.

Jeden chłop z Wydrzy <sup>1)</sup> to był w piekle i nazad wrócił. Zabaczyłem <sup>2)</sup> jak się ten chłop nazywał, ale to było we Wydrzy. Orał on całe dopołudnie i przeklinał ciągle „żeby cię djabli wzięli“, bo mu woły nie chciały dobrze chodzić. W południe przyjechał do domu i położył się spać na ławie pod oknem. I co powiecie? umarł, ale jego baba ani dzieci tego nie spostrzegły. Tak on przyszedł na drugi świat, a Pambóg kazał mu iść do piekła. Cóż miał robić, musiał iść. Przyszedł do piekła i stanął na progu, aż tu djabeł przychodzi. a straszny wam pawiadam, że niech Pambóg broni i chce chłopca zabrać, a ten jak krzyknie: „Jezus Maryja Józef święty,“ tak go djabeł trzask w pysk, a chłop bach na ziemię i obudził się. Jak się obudził, tak się go baba pyta: „Wojtek, — prawda Wojtek się nazywał — bój się Boga, adyć tobie na gębie znać całą rękę, czyś spał tak twardo i odgniotłeś sobie!“ Tu jęł chłop dopiero wszystko opowiedział, a na gębie długo nosił znaki od djabła ręki. On rozpowiadał także, że tam w to piekło popatrzeć, to aż człowieka mrowie przechodzi. To piekło zamknięte jest ogromnymi drzwiami żelaznymi. Jak się przed te drzwi przyjdzie, to trza zapukać. Jak się zapuka, tak się zaraz djabeł pyta, co tam siedzi na warcie: „Kto tam?“ Trza powiedzieć: „Ja grzeszna dusza.“ Tak wtedy on otworzy i już ma w księdze zapisane, na jakie męki człowiek ma pójść. Ten chłop z Wydrzy widział, co to piekło okropnie duże i podzielone poprzecznymi rowami na dużo części, a co krok to straszniej, aż człowiekowi włosy na głowie stawają. A między tymi rowami to się tylko ognie palą. Na tych ogniskach stoją okrutne kotły, a w nich pełno dusz się gotuje. Tam tylko same djably się

<sup>1)</sup> Wydrza, wieś Lasowska.

<sup>2)</sup> zapomniałem.

kręcą i ci, co maź albo wodę do kotłów wożą. Stary Lucyper jak jaki „miemieć“ we fraku <sup>1)</sup> pali „se“ fajkę i kuśtyka po piekle z rękami w kieszeniach i wysyła djabłów na świat, żeby ludzi kusili. Ten Wojtek z Wydrzy gadał, co on tam w piekle widział dużo znajomych nawet pono księdzów, a panów to już bez liku.

Ale nie myślcie sobie, że wszystkie dusze idą do nieba albo do czysca albo do piekła, niektóre Pambóg skazuje na inne jeszcze dolegliwości. Bardzo dużo dusz błąka się po świecie po rozstajnych drogach, drugie znowu siedzą w kamieniach i w drzewach. Nieraz człowiek słyshał, jak się drwa kładło na ogień, że coś piszczała okropnie. Jak się kiedy co takiego trafi, trza zaraz powiedzieć: „Wszelki duch Pana Jezusa chwali, jeźliś duch dobry, idź do nieba, jeźliś zły do piekła.“ Abo to na rozstajnych drogach jeden słyshał płacz jakiś? Te dusze to wołają chrztu, bo to są dzieci, co bez chrztu są pochowane. Jak się usłyszy taki krzyk, to trza zaraz powiedzieć: „Wszelki duch Pana Jezusa chwali, chrzczę cię w imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen.“

A możecie widzieli, jak jest noc pogodna, ze i na miesiączku coś czarnego widać. To widziacie tam pokutuje jeden chłop, co w Boże Narodzenie wyrzuciał gnój ze stajni. Pambóg go tak ukarał, że się przebił na widłach i teraz tam na miesiączku na tych widłach pokutuje.

A kiedy mi się pytacie, co to jest dusza, to wam i o tym powiem, co wiem. Każdy człowiek ma na niebie gwiazdę, ta gwiazda dopóty świeci, dopóki człowiek żyje, a jak człowiek umrze, to i gwiazda jego zlatuje — przecież nieraz musieliście to widzieć. A jak człowiek ma gdzie umrzeć, to po niego przychodzi śmierć. Ludzie powiadają, że ona jest z kosą, ale u nas przynajmniej nikt jęj z kosą nie widział. Raz szłaśwa że stryjem z karezmą — no było już koło północkska — tośwa widziała przy Korezakowy chałupie, jak śmierć stała. Była ona bieluteńka jak śnieg i tak ubrana, jak u nas baby chodzą, ale głową to aż do strzechy dostawała. Okropnie wtedy psy wyły naokoło. W kilka dni potym Korezak umarli. Duszę to rzadko

---

<sup>1)</sup> Frak musieli Lasowiaci widzieć w Dzikowie.

kto widzi, chyba tylko jaki bogobojny człowiek, albo dzieci i zwierzęta, bo te się okropnie krzywią. jak gospodarz umiera. Ci, co widzieli powiadają, że dusza wychodzi gębą i jest całkim tak jak płomyk, tylko się mignie i już jęj nie ma.

Czasem znowu przychodzą dusze z tamtego świata i przypatrują się, jak my tu żyjemy. Ja tu „se“ raz spię na piecu, a tu w nocy otworzyły się drzwi od chałupy — patrzę — a tu moja „nieboska“ żona włazi całkim tak, jak ją pochowałem, tylko bieluteńka jak papier. Popatrzyła się po całej chałupie, pojrziała na mnie na piec, a potem przysunęła się do łóżka, gdzie leżało małe dziecko — bo przy małym umarła, — nachyliła się, jakby mu cycka dawała. Ja się zerwałem i chciałem się z nią przywitać, ale co rękę wyciągnę, to nie mogę jęj dotknąć, aż mię strach zdjął i zawołałem: „Jadwiś żono droga,“ a ona jakby się wzdrzgnęła, wtedy kogut zapiał, zrobił się tylko wiatier i już jęj nie było.

Powiadają także, że i Pan Jezus ze świętym „Pietrem“ nieraz wychodzą z nieba i chodzą po ziemi. Raz szli oni i szli i przysli do jednej wsi, a już się mroczyło. Tak myślą sobie: trza gdzie przemocować. Pan Jezus mówią: „Chodźwa do której chałupy i prośwa o nocłóg.“ Ale św. Pieter „koneenie“ ciągnął do karczmy. Pan Jezus gadają: „Ha no, kiedy tak koniecznie chcecz, to chodźwa.“ Przysli do karczmy i karczmarz posłał im w kącie, bo wtedy było w karczmie dużo rekrutów, co szli do Dzikowa na odbierkę. Póki rekruciska się nie popiły, to było wszystko dobrze, ale jak się popili i zaczęli tańcować, tak się jeden rekrut potknął na św. Pietrze, co leżał z brzega i zaraz zawołał na drugich, tak złapali go i zbili okropnie. Jak go puścili, tak św. Pieter przychodzi do Pana Jezusa i gada: „Połóż się Panie z brzega, bo jak mię drugi raz wezmą, to mię zabiją.“ Pan Jezus miał swoje na myśli i położył się z brzega, Rekruty piły dalej i tańcowali, ale potem przypomniaeli sobie wędrownych i powiadają: „Jeszcze ten nie dostał, co od ściany.“ Biorą znowu św. Piotra i biją — żeby im tam Bóg nie przebaczył. Tak potym pada św. Piotr do pana Jezusa: „Chodźwa stąd Panie, bo naju zabiją,“ a jak wychodzili, pada św. Piotr: „Panie daj, żeby zawsze dészcz padał, jak będą rekruci szli na odbierkę.“ Nie wiem czy to prawda, ale juźci



musi być prawda, bo prawie zawsze jak mają rekruci iść na odbierkę, to dęszecz idzie.

Są i inne duchy co chodzą po świecie, kiedy już tak koniecznie chcecie, abym wam o nich gadał. U nas w wodach siedzą Topielec. Topielec ma być nie duży, ale okropecznie mocy, nawet najmocniejszego chłopca zmoże. Te Topielec to siedzą we wodach. Jak się kto tam kąpie, gdzie ony siedzą, to ony złapią zaraz człowieka za nogę i pod wodą uduszą. Czasem taki Topielec wyłazi z wody i chodzi także po ziemi. Raz jeden Topielec zakochał się w córce jednego chłopca i często do niego wieczorami przychodził przebrany za pana. Ale i tak żeby kto mądry, toby go był poznał, bo on zawsze miał mokry jeden wąż (połę) i ten przysiadował. Aż raz przyszli do tego chłopca wędrowni Niemcy, co to grają i prosili o nocleg. Chłop ich przyjął, a oni potym zaczęli grać i tańcować. A ten Topielec gada: „Jabym lepiej potrafił tańczyć, jak wy.“ Tak wtedy ci Niemcy gadają: „Kiedys ty taki mądry, to i my wiemy, kim ty jesteś.“ Złapali Topieleca za ten mokry wąż i pokazali temu chłopcu, Topielec jak po zmyciu uciekł. Aż raz ta dziewczyna tego chłopca przyszła poić krowy do rzeki — a tu wychodzi z wody ten sam Topielec, poznał ją i zaczarował. Tak ta dziewczyna szła i szła za nim, aż przyszli nad morze. Tak wtedy ten topielec wziął różgę i rzucił na morze. Tak zaraz przez to morze zrobił się gościeńiec. Tak oni szli i szli tym gościeńcem aż przyszli na to miejsce, gdzie ten Topielec miał swój pałac. Jak weszli do tego pałacu, tak tam była ogromna izba, w tej izbie piec z ogromną blachą, a na tej blasze stały kotły, a w tych kotłach stara baba coś gotowała. Tak potym ten topielec zaraz odszedł, a ta dziewczyna musiała ciągle w piecu palić, a nie wolno jej było zaglądać, co się w tych kotłach gotuje. Aż raz ta stara baba gdzieś wyszła — tak ta dziewczyna odchyliła pokrywę, a z tych kotłów wylatowały białe gołębiczki, a co który wyleci, to mówi: „Bóg ci zapłać.“ Jak ta baba wróciła, tak okropnie zaczęła na tę dziewczynę swarzyć i gadać: „Bój się Boga, cóżes ty najlepszego zrobiła, jak on wróci, to się naju duszycki muszą tak w kotłach smażyć, jak te co tu były.“ Ale ta baba wiedziała, gdzie Topielec ma czarowne różgi, wzięła jedną i rzuciła na morze i zaraz zrobił się gościeńiec. Tak ony

tym gościńcem szły i szły, aż przyszły do wsi. Wtedy ta dziewczyna poznała, że ta baba to była czarownica z tej samej wsi. Ale ta dziewczyna długo nie żyła, bo naraz potym umarła.

A to musieliście przecież słyszeć, jakeście z nami pasali, że Pambóg może ludzi zamieniać, w co się mu chce. Ksiądz gadał na kazaniu, że jakaś tam żydówka zamieniła się w súp soli w „Sodumie i w Kumorze.“

A u nas pono w dawnych czasach zdarzyło się, że był dwu braci, co się bardzo kochali i byli pono najładniejsi na świecie. Tak oni nie nie robili, jino się na siebie patrzyli i tak se gadali: „Jakiś ty śliczny, aniołowie w niebie nie są ładniejsi od ciebie?“ Za to Pambóg ich skarał i zamienił w kwiatek, co się nazywa *bratek*.

A był też jeden pan zły, co chłopów okropnie ciemnił i inaczej do chłopów nie mówił jino: „ty psiakrew.“ Za to po śmierci Pambóg zamienił go we psa i stąd mają psy pochodzić, ale to chyba nieprawda, bo jakżeby ten pan mógł gadać „psiakrew,“ jeśli psów nie było na świecie.

Ale kiedy chcecie słyszeć jeszcze o duchach, to wam powiem cokolwiek, bo o tym trzebaby ze trzy dni gadać. Musielicie przecież słyszeć, że u nas jest taki „Wiek“ albo „Gniotek,“ on nie jest duży, ale okropnie ciężki. Jak człowiek śpi, tak ten Wiek pakuje się na niego i okropnie gniece. Żeby takiemu Wiekowi wziąć czapkę, toby on przyniósł dużo pieniędzy. Jeden urlopnik wziął Wiekowi czapkę i on mu przyniósł dużo pieniędzy, ale mu to na dobre nie wyszło, bo nie nie robił jino pił. Tak raz, jak pijany z Dzikowa wracał, tak go Topielec u Żórawiego ługa <sup>1)</sup> złapał i utopił.

Są u nas także takie małe baby, co się nazywają: „Południce“ i siedzą po polach w dziurach, a pokazują się w lecie w ciepłych dniach w samo południe, jak ludzie wrócą z pola do domu. Ony patrzą, żeby tylko gdzie dziecko jakie mogły złapać. Jak złapią, tak zaczarują i biją miotłami, a potym te miotły rzucają matkom na śmieciska, żeby wiedziały, co się z ich dziećmi dzieje i żeby płakały. Wtedy trza takim matkom wychodzić południami w pola i ugłądać, czy gdzie nie zobaczą

<sup>1)</sup> Miejsceowość między miasteczkiem Dzikowem a wsią Mokrzychowem.

jaki Południcy. Jak się zobaczy Południcę, to trza „študerować“, żeby jěj wziąć czapeczkę, a jak się jěj weźmie czapeczkę, to nie trza oddawać, choćby ona nie wiedzieć jak prosiła, aż odda dziecko. Ale już z takiego dziecka nie ma pociechy, bo jak dorośnie, to jest pijak albo zalotnica. To się już u nas nieraz przytrafiło.

Powiadają ludzie, co i miesiące to są jacyś ludzie, i tak raz Luty zeszedł się z Marcem w karczmie i zaczęli sobie popijać. Luty był źle ubrany, a Marzec miał sobie porządny kożuch i pasowe buty, rozparł się jak jaki pan i zaczął sobie drwić ze sąsiada: „Nibyto mają cię za silnego, ale jak jabym cię złapał, tobyś zginał w moich garściach.“ „Adyć prawda, pada Luty, ale ja nigdy nie leżę po rowach powalany jak jaki maziarz i nie płynę potym na flis do morza ze wszystkimi nieczystościami jak ty.“

A powiem wam także „krystoryjo,“ dlaczego pies nie lubi kota, a kot myszy.

Dawnymi czasy miał pies z kotem takie pismo, że jak co ze stoła upadnie, to już ich. Wtenczas pies z kotem byli panami, bo jak upadł bochen chleba albo choćby największy kawał sztuki, to im nikt nie śmiał odebrać. „Wiesz, braśku, powiada pies do kota“. „A co?“ „kiej mawa takie ważne pismo, to go schowajwa dobrze, żeby naju (nas) kto nie okradł.“ „No to schowaj“ pada kot, — „ale gdzie, pada pies — ja nie mam gdzie, ty umiesz łązić po dachach i wszędzie zdybiesz jakie prześpieczne <sup>1)</sup> miejsce.“ Kot wylazł wysoko w szopie i schował pismo za łątę <sup>2)</sup>. Ciągnęło się to tak długo i psu i kotowi dobrze się działało, aż raz upadło chłopu sadło, a pies do niego: „Pokaż pismo“, pada chłop — pies do kota, kot poszedł po pismo, ale nie znalazł, bo myszy zjadły. Dla tego teraz gniewa się pies na kota, a kot na myszy.

Kiej chcecie to wam także powiem, że dawniej miało żytko dwa razy tak długie kłósko, jak teraz.

Matka Boska chciała się raz przekonać, czy ludzie są miłosierni dla biednych czy nie. Tak przebrała się za proszoną

<sup>1)</sup> bezpieczne.

<sup>2)</sup> porów. niem. Latte.



babkę (zebraczkę), przyszła do jednej wsi i weszła do pierwszej chałupy i prosiła o jałmużnę. Gospodyni piekła w tym domu właśnie podpłomyki, a jak ją Matka Boska prosiła choć o kawałek, ofuknęła ją babsko, bo niepoznała i rzekła: „Wynos się dziadówko, wolę psu dać jak tobie.“ Matka Boska się rozżaliła, poszła na pole i wzięła rączką za kłóska i urwała tyle, co w rączce było, reszta zostało na pamiątkę, bo się Pan Jezus wstawił za ludźmi.

Trzebaby spory tom zapisać, gdybyśmy chcieli wszystko wyczerpać, co Lasowiak opowiada. Z tych kilku wyjątków przekonać się można, jak ściśle on jeszcze związany z naturą i jak sobie tę naturę prostym swoim rozumem tłómaczy. Wiele on z tego zawdzięcza wiekom dawniejszym, ale wiele zapewne dodał i stworzył. Podanie o olbrzymach, czyli mówiąc po lasowsku i staropolsku „obrymach“ jest bardzo dawne, napotykamy je bowiem u wszystkich ludów aryjskiego szczepu, zaczawszy od Indów a skończywszy na naszych Mazurach. Tytany walczące z Zeusem, Polyfem przez Odysseusza tak okropnie podstępem ukarany, — jeden mają początek i wspólnego są pochodzenia z naszymi obrzymami. Zdziwiającym jest tylko fakt, że Lasowiacy przedstawiają olbrzymów jako takich, którzy ciągną chmury, a więc jako potęgi powietrzne. Sądźmy, że tego sami Lasowiacy nie stworzyli, że to musi być powszechniejsze. — dziś tego niepodobna rozstrzygnąć, bo za mało posiadamy spisanych płodów wyobraźni ludowej tak u nas, jak i u innych ludów słowiańskich.

Podług źródła, jakie mamy pod ręką, olbrzymi wszędzie występują jako potęgi działające na powierzchni ziemi, albo w jej wnętrzu, ale najdawniejsze pomniki piśmienne naszego szczepu wskazują, że zachodził jakiś między nimi a chmurami związek. W hymnach Rigwedy czytamy, że Panis, potęgi ciemności, skradli Indrze t. j. słońcu, krowy, które według znakomitych znawców Sanskrytu i jego Literatury, oznaczają obłoki pełne dęszczy. <sup>1)</sup> Jeżeli tedy zważymy, że cała mitologija ludów

<sup>1)</sup> Porów. M. Müller: *Lectures on the Science of Language*. Kuhn: *Haupt's Zeitschrift für Deutsches Altertum*. VI p. 119 et sequ.

aryjskiego szczepu wspólny ma początek, że znajduje wyjaśnienie swoje w starych pomnikach sanskryckich, to możemy przypuścić, że te potęgi ciemności, które skradły Indrze krowy, mogły w biegu wieków stać się olbrzymami ciągnącymi chmury, faktem przynajmniej jest niezaprzeczonym, że podobne wyobrażenie o olbrzymach — mniejsza o to w tej chwili, jak się nazywali — już w najdawniejszych czasach u szczepu aryjo-europejskiego istniało.

Mamy nadzieję, że na tym miejscu nieraz jeszcze spotkamy się z Lasowiakami, teraz zaś na tym kończymy.









F

19.039